№ 24. Wilno, dnia 1 Września 1925 r. Rok I



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Do szkoły.

Wzeszło słonko na niebiosa
Zalśniła się ranna rosa,
Dzień się budzi, dzień wesoły —
Wstańcie, dzieci, czas do szkoły!

Słonko wyżej wznosi czoło,
Praca kipi, wre wokoło,
Uderzają w dzwon kościoły —
Hej, dziateczki, czas do szkoły!

Po śniadaniu włóżcie w teczkę —
Kajet, pióro i książeczkę —
Dzwonek woła już wesoły —
Dziatwo miła, hej — do szkoły!

M. Ch.

J. Bogusz.

Straszne przygody Antka na falach Bałtyku.

Nigdy Antek Roiński nie miał w swem życiu, tak pięknego dnia, jak dzień 25 czerwca 1925 r. Skacząc po trzy schody na raz, wbiegł tego dnia na trzecie piętro, do mieszkania rodziców i rzucając się do rąk matki zawołał:

— Mamusiu! jestem już w czwartej klasie, oto moje świadectwo! Biegnę do tatusia!

Ale tatuś już stał we drzwiach.

Swiadectwo było rzeczywiście świetne. Ze wszystkich przedmiotów: *bardzo dobrze*, pilność celująca, a sprawowanie: *chwalebne*.

Miał się więc czem cieszyć chłopak, a wspólnie z nim cieszyli się rodzice. Bardziej jednak niż postępy w naukach cieszyło ich postępowanie chwalebne. Antek był wzorowym uczniem i najlepszym kolegą. Wszyscy jednogłośnie, tak profesorowie, jak szkolni towarzysze, kochali go i cenili za to nieźmiernie.

Pan Roiński, ściskając syna, powiedział mu, że teraz ma prawo żądać jakiej chce przyjemności podczas wakacji, a on dołoży starań, by spełnić jego życzenia.

Antek rzucił się ojcu na szyję.

— Ach, tatusiu—zawołał—jakiś ty dobry, ale czyż ja mogę o to prosić? Byłoby to taką radością dla mnie, nie śmiem jednak i marzyć o tem, wiem, że i bez tego wydatków jest sporo, a ty tak ciężko pracujesz...

— Mów chłopcze, mów śmiało — rzekł ojciec — może jakoś poradzimy wspólnie z mamą.

Matka patrzała z uśmiechem na syna.

— Tatusiu, mamo—mówił chłopak—gdyby to można było, chciałbym, by Stefek ze mną spędził wakacje nad morzem.

— Tylko tyle — roześmiał się ojciec — myślałem, że zażądasz, bym ci kupił samochód, lub może nawet samolot. Aż się przestraszyłem na samą myśl o czekającym nas wydatku.

— A ja ci powiem — dodała matka — że i mnie na

myśl przychodziło zaprosić Stefka, by z nami chciał pojechać nad morze.

— Mamusiu, jakaś ty dobra i kochana, ty zawsze wszystko odgadniesz—mówił Antek, całując ręce matki.— Dziś słyszałem, jak profesorowie mówili, że pobyt nad morzem uzdrowiłby z pewnością Stefka, o ile zaś zostanie w mieście, w obecnych warunkach, to skończy suchotami. *d. c. n.*

Pierwszy dzień w szkole.

Z PAMIĘTNIKA ADASIA.

Już naprawdę jestem uczniem.—Wiosną jeszcze zdałem egzamin i zostałem przyjęty do 3-ciej klasy, ale uczniem dziś dopiero zostałem.

Wczoraj wszyscy uczniowie, chłopcy i dziewczęta, byliśmy w kościele, w Rukojniach, na Mszy naszej, to jest uczniowskiej. Bardzo było ładne nabożeństwo, wszystkie świece zapalone przy wielkim ołtarzu. Kościół pełniusieńki, dzieci szkolnych osiemdziesiąt, a może i więcej, bo nasza szkoła — to trzyklasowa. W naszym oddziale dwudziestu pięciu uczni.

A dziś raniutko zbudziła mnie mama, ubrałem się prędko, pacierz zmówiłem, śniadanie zjadłem i marsz w drogę. I zaraz spotkałem się z Walkiem i Kazikiem i innemi dziećmi i razem szliśmy do szkoły, do Borejkowszczyzny.

Na podwórzu szkolnem spotkał nas pan nauczyciel.

— Ustawcie się parami, rzekł, i spokojnie wejdźcie do klasy, bez hałasu i potrącania się.

Jak już my weszli wszyscy, na ostatku wszedł i nauczyciel i kazał nam zająć miejsce w ławkach. Po trzech w każdej.

Siadłem między Walkiem i Kazikiem.

— Moje dzieci, zapytał wtedy pan nauczyciel, powiedźcie mi pocoście tu przyszli?

Spojrzałem na Walka i myślę:—Po co on nas o to pyta, a tu już Zośka Grzedziałówna woła:

— Żeby się uczyć.

I czemuż ja tego nie powiedziałem.

A nauczyciel znowu:

— A czy wy wiecie, jak się ta mejscowość nazywa, gdzie jest wasza szkoła?

— Wiemy, wołają dzieci.

— Borejkowszczyzna! wołam i rad jestem, że mi się lepiej niż innym udało.



Władysław Syrokomla.

— Tak, Borejkowszczyzna, mówi nauczyciel, ale tego może nie wiecie, że tu w tym domu, w tym nawet pokoju, w którym obecnie jest nasza szkoła, żył przed laty pięćdziesięciu, mądry i zacny Polak: Ludwik Kondratowicz, a po przezwisku, które sobie sam obrał: Władysław Syrokomla. Bogaty nie był, Borejkowszczyznę dzierżawił. I pracą swą utrzymywał żonę, kilkoro dzieci i matkę staruszkę.

Bóg mu dał taką łaskę, że umiał śliczne wiersze pisać i książki jego szły po całej Polsce. A było wtedy w kraju naszym źle, smutno i ciężko. Naród polski był w ciężkiej niewoli. Po wsiach było najgorzej. Lud wiejski, wasi dziadowie wolnymi nie byli, musieli to robić co im panowie kazali i pracować dla dworu. Ani ziemi własnej, ani chałupy. Szkół polskich nie było. Otóż pan Syrokomla pisał o biednym ludzie wiejskim, o jego cierpieniach i nędzy. I wciąż powtarzał, że tak jak jest, to być nie powinno, wszyscy ludzie są sobie równi i wszyscy wolnymi być powinni, a bogaty niema prawa krzywdzić biednego.

Słowa zacnego, mądrego człowieka nie poszły na wiatr, i ludzie je zrozumieli i szlachta polska prosiła cara, żeby jej pozwolił wolność dać chłopom i ziemią ich obdzielić. Na to car nie pozwolił, bo nigdy wróg nie chciał by cały nasz naród żył w zgodzie i miłości. I o tem jeszcze pisał Syrokomla, że trzeba budować szkoły, trzeba uczyć wszystkie dzieci, nietylko bogate, ale i najbiedniejsze. I na to car rosyjski nie pozwalał i dla tego widzicie sami, jak wielu ludzi starszych po wsiach, czytać i pisać

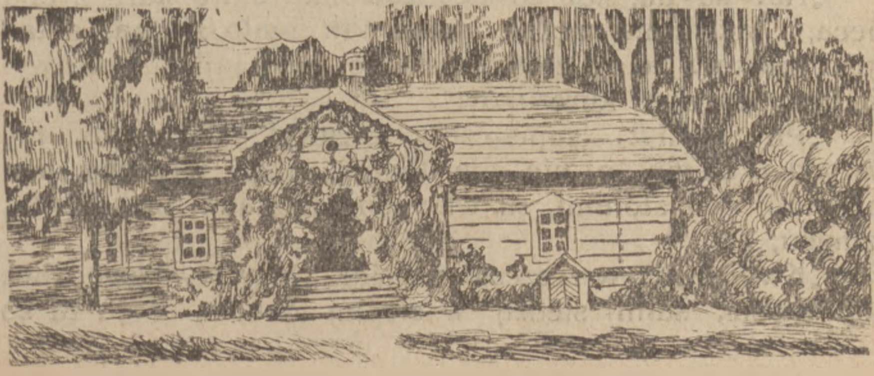
nie umie. Nie wolno im było chodzić do szkoły polskiej. Nie wolno było uczyć się.

Za to wy już dziś macie wolność i wszędzie teraz w całym kraju naszym powstają szkoły i szczęśliwe dzieci idą do nich po naukę. Wy macie szkołę milszą nad inne, bo w domu tego mądrego i dobrego człowieka. W ciągu roku będę wam nieraz o nim opowiadał, przeczytamy razem niektóre jego wiersze, a teraz pójdźmy do ogrodu, gdzie pokażę wam jeszcze pamiątki po Syrokomli.

Tak mówił nasz nauczyciel, — a ja za nim sobie cichutko wszystko przepowiedziałem, żeby tu zapisać. W ogrodzie ślicznie słońce świeciło, a Walek to mię szturchnął w bok i powiada:— Patrz, Adaś, jakie te drzewa piękne, to żółte, to czerwone. Prawda, bardzo było pięknie w tym ogrodzie. Nauczyciel nam mówił, że te drzewa sadził Syrokomla i grusze, i jabłonie, i te klony złote. Potem pokazał nam taki stół z kamienia, na którym złotemi literami napisano: „Władysław Syrokomla tu żył i pisał". Nie wiem, co mi się zrobiło, ale tak mnie coś pchnęło, że podszedłem i ucałowałem te litery. Chłopcy w śmiech, zawstydziłem się, ale pan nauczyciel pogładził mnie po głowie i zapytał tamtych chłopców:

— Czego wy się śmiejecie z Adasia, on chyba najlepiej zrozumiał, kto był Syrokomla, skoro ten napis ucałował. Pamięć wielkich ludzi godzi się czcić.

Wróciliśmy do szkoły i robiliśmy tam lekcje, spojrzałem na zawieszony na ścianie portret Władysława Syrokomli i zdawało mi się, że on się cieszy naszą polską szkołą i że nam błogosławi. Postanowiłem też sobie że się będę dobrze uczył.



Ładne towarzystwo.

Pewnego wieczoru, w chacie Sylwestra Purłana zebrała się do kupy taka dobrana kompanja i takie sobie przyjacielskie prowadziła rozmowy, że choć gawędzili wszyscy bardzo cicho, podsłuchał ich jeden mój znajomy i tak mnie o tem opowiedział.

Otoż kompanja ta, siedziała sobie tam, gdzie kto lubił, korzystając, że z całej chaty wszyscy poszli na wieczorynkę do sąsiadów i można było hulać, bo gospodarzy nie było w domu. Kot drzemał sobie na przypiecku, pies Kruczek wlazł pocichu na łóżko i wkopał się w porozrzucane tam odzienie, kury postękiwały gdacząco pod piecem zagrodzone na noc polanem, za drzwiami kwiczał z nudów parsiuk, napierając się do środka, a szczury i myszy tańcowały to po podłodze, to na półkach, zaglądając w każdy kącik, czy nie ma czego do zgryzienia?

Ludzie sobie poszli, więc wszystka żywiołka, która została w chacie, rozkoszowała się swobodą. Każdy zaczął po swojemu się cieszyć. „Mrr, mrr, furkotał kot, jak kołowrotek, możecie sobie tańcować i gryźć co chcecie, wy pace! ani myślę za wami się upędzać, gospodyni żałuje mi zacirki, nie będę nic robił“... „Chr... chr... chr... chrapał sobie Kruczek „wypędzają mnie zawsze bez litości na chłód i deszcz, to przynajmniej teraz użyję sobie w ciepłej pościeli, napuszczę pcheł gospodyni do łóżka, ale mała bieda, i tak jest ich tutaj dosyć“.

„Kot-ko-da, kot-ko-da“ zawołała stara kura z pod pieca, „jak mnie będą dawać tak mało ziarna, a tak dużo miękiny, to ze złości rozbijać będę jajka i nie wysiedzę gospodyni kurczuków“.

„Pii... pii... zapiszczały szczury“, daj nam, my wszystko zjemy, o nic nie dbamy, ciągle biegamy, pod ławkami, pod stołami, za własnemi ogonami, krętu, wętu, szmyku, piku“!

„Kwii, kwii“ wrzeszczał parsiuk „jacy wy niegodziwi, bez litości, sami siedzą w ciepłej chacie, a ja tu za

drzwiami marznę, będę za to wrzeszczeć tak, że nikt z was oka nie zmruży".



Tak sobie przemawiały większe zwierzęta, narzekając, że o nie niedbają, chociaż każde z nich przynosiło korzyść człowiekowi, wzdychały też, że dzieci nie są dla

nich dobre, pies wspominał jak Marcinek puścił w niego kamieniem, kot otrząsał się na wspomnienie, że Jasiunio wrzucił go do wody, kury wcale nie ładne rzeczy opowiadały sobie o Kazi, że je straszy i pędza... słowem kompanja była zadowolona że ludzie wyszli.

A w tym momencie odezwały się inne głosy, cichutkie, w szparach łóżka i w fałdach odzienia. Najprzód pod skoczyła tam pchła i ucięła psa w sam nos, tak mocno, że ten biedaczek, choć przywykł do pchlego apetytu na swoją psią krew, aż podskoczył i zaczął pracowicie niamkać po kudłach, szukając wroga.

A pchła aż tarzała się ze śmiechu.

„Szukaj, szukaj kochaneczku, syczała, nie takie ja stworzenia gryzę i nikt mnie nie skrzywdzi! Ot ludzie: ja i moje siostrzyczki, wszystkie takie zwinne bruneteczki, gryziemy ich gdzie i kiedy możem, najadamy się na nich mało nie pękniemy, aż skakać trudno, całe setki nas tu żyje i pysznie! Ani nas kto tępi, ani gnębi. Ot czasami, ktoś zaciśnie, którąś niezgrabną, albo zanadto opitą krwią ludzką pchełkę, ale w pościeli i odzieniu siedzimy cieplutko, wygodniutko, nikt nas nie wytrzęsie na dwór, bo gospodyni poczciwa, nigdy pościeli nie wietrzy".

„Czekajcie, czekajcie rozbojnice"! zaburczał pies, niedługie wasze już panowanie... słyszałem jak Marcinek czytał ze szkolnej książki, że pchły przenoszą zarazy i trzeba je tępić, zrobią z wami porządeczek, nie zadzierajcie tak nosów do góry".

„Nie możemy zadzierać tego, czego nie mamy", kłóciły się pchły, „a tam, z tym porządkiem, to nie bardzo wierzymy, chata zawsze była brudna to i będzie, a ty, za to, że nam grozisz, a masz! A masz! A co? Słodko? A co? Dobrze?" I cięły biednego Kruczka, że jęczał i wił się szczypiąc się po kudłach, a one hulały sobie po nim, jak chciały.

„Oto gust, żeby mając ciało człowiecze na zawołanie, objadać się na psiej skórze" zagadały jakieś głosy nadęte, „tylko takie próżniuchy, jak pchły, mogą to robić, my to co innego! My, jaśnie panie pluskwy, tylko ludzką krwią się żywimy. *d. n.*